

Jacek Bocheński
 LITERACKA RZĘKA

Jacek Bocheński nie ma łatwego życia pisarskiego. Kto je ma? Nikt może, ale nie u wszystkich widać to tak wyraźnie. Szuka tematu i rozmija się z nim, każdy z nich wydaje się nie jego własny; szuka stylu i nie trafia - każdy wydaje się od kogoś wzięty. Szuka swej pasji osobistej, a jeszcze takiej nie wypowiedział, którą można by nazwać jego imieniem. Jest dziwny w tym wszystkim co pisze. Sprawia takie wrażenie, jakby krył się, a nie wypowiadał. Zdaje się kryć właśnie z tą swoją dziwnością, przyjmując na siebie skóry różne, które go upodabniają do otoczenia. Jest, zdaje się, przekonany, że literatura toczy się jednym nurtem, a, gdy w jego odnogi boczne zabląka się pisarz, przepadnie. We wszystkich okresach swego pisarstwa atakował sprawę, którą aktualna publicystyka literacka uważała za główną lub najbardziej drażliwą. Debiut jego odbył się w cieniu najbardziej kontrowersyjnego pisarza lat czterdziestych, jakim był Tadeusz Borowski. W opowiadaniu w tomie pt. "Fiołki przynoszą nieszczęście" /1949/ podejmował okupacyjny temat w tym samym tonie okrutnego gestu, w którym napisany był "Kamienny świat". Usprawiedliwiał się z tego później w jednym ze swych artykułów, opowiadając się zarazem na rzecz literatury poważnego, optymistycznego humanizmu. Zapowiedź spełnił w opowiadaniach, które zatytułował "Zgodnie z prawem" /1952/. Był w tych opowiadaniach humanizm, był także optymizm, a zarazem niepokój jakiś charakterystyczny dla tych lat, których znów najbardziej kontrowersyjną książką były opowiadania Józefa Kuśmierka pt. "Uwaga! Człowiek". Po pierwszym okresie rewolucyjnej euforii, pisarze aktywnej lewicy zaczęli wówczas bilan-

sować rachunek strat i zysków; za jaką cenę - pytam mianowicie - dokonują się w naszym kraju przemiany społeczne i gospodarcze, jak się one odbijają na psychologicznym ekranie i jakie są ich rezultaty w planie moralnym. Temu obrachunkowi służył wątek praworządności socjalistycznej, a za tło - wieś, jako teren najcięższych prób. Przez wybór wątku i tła, Bocheński przyłączył się do Kuśmierka, a tym wyborem ani doświadczenie osobiste pisarza nie kierowało /nie on ze wsią nie ma wspólnego/, ani szczególna skłonność pisarska do czarnoglebia literackiego. Dowodem tego następne książki, następne tematy i style. Najpierw ten pisarz rozstał się na dość długie z fikcją literacką. W 1956 roku wydał książeczkę publicystyczną, która była plonem jego podróży do ZSRR /"Podróż i szczypta filozofii"/. Była to pierwsza bodaj u nas i bardzo ostrożna próba spojrzenia na ZSRR bez Stalina, a zarazem próba dyskusji z samym sobą na temat, który w tym czasie owładnął umysłami ekipy literackiej, co swe młodzieńcze dzieje złączyła ze stalinowską strukturą ideową. Bocheński należał do tej ekipy jako publicysta "Pokolenia", "Walki Młodych", "Nowej Kultury". W jakiej mierze należał do niej jako pisarz? Ani jako autor "Fiołków", ani "Zgodnie z prawem". Może wydawało mu się tylko, że należeć do niej powinien, może mu wstyd było, że nie dość jest Bratnym, czy Woroszylskim? Uważał pewnie, że oni tkwią w samym oku cyklona, a pisarz prawdziwy gdzie indziej tkwić nie może. Może Bocheński jest fatalistą. Może cierpi na poczucie obcości i dlatego szuka swego miejsca tam, gdzie najbardziej tłoczne. Dość na tym, że w owej "Podróży" rachował się bardziej za innych niż za siebie i pewnie dlatego z jego rozważań na tematy gorące wionął chłód.

W roku 1960 ogłosił książkę o Juliuszu Cezarze /"Boski Juliusz"/. Zna się na tym, bo jest filologiem klasycznym

z wykształcenia. Napisał jednak tę książkę nie po to, by dowieść, że na uniwersytecie nie stracił czasu lecz po to, by jeszcze raz dowieść współczesnej epoce, że jest jego jedyną kochanką. Sprawa Stalina nie schodziła z pola widzenia, dramat władzy był aktualny, obserwator polityczny żył na co dzień refleksją historyczną. Jerzy Andrzejewski wydał był wtedy swą powieść o wielkim inkwizytorze, Jan Kott pisał szkice o szekspirowskich królach. Jacek Bocheński, dla żartu tylko umieścił na swojej książce podtytuł "Zapiski antykwariusza", albowiem w rzeczywistości były to zapiski czytelnika gazet. "Czy ktoś z państwa chciałby zostać bogiem? - pisał w pierwszych zdaniach książki. - Jest to osiągalne. Rzecz prosta, nie każdy reflektuje i nie każdy potrafi. Ale może chce państwo wiedzieć, jak się to robi? Otóż są sposoby. Historia zna wypadki tego rodzaju. Żądają państwo przykładów? Proszę: Juliusz Cesar. Ach, rozumiem, to imię zniechęca. Woleliby państwo coś aktualniejszego".

Woleliby państwo... a co wolałby naprawdę Bocheński? Ja myślę, że on swą starożytność kocha bardziej, niż sam sądzi i że z tej miłości usprawiedliwia się sam przed sobą, gdy publiczność kokietuje owym "tonem lekkiego felietonu", jakby powiedział Gombrowicz. Myślę, że dziwność dawna i daleka woła Bocheńskiego, a on tego wołania słuchać nie chce, ze strachu przed zablakaniem się w boczne rozlewiska literackiej rzeki. Płynie środkiem, krygując się.

Tak też jest z jego Afryką. Odbył świetną podróż do Sudanu i Abisynii, w buszu bywał, przygody miewał. Gdyby tylko notował co widzi i co się z nim dzieje, książkę by napisał i tak przebarwną, i ważną, jak wszystko, co prawdziwe i bezpośrednie. Niech by składała się ona tylko z takich opisów

jak ten tańca obrzędowego: "Właśnie trzej bębniści uderzyli dłońmi w nagrzaną skórę tam-tamów. Ale tak uderzyli, że natychmiast wstałem. Bo tancerki niby rażone prądem podskoczyły w górę i już posuwały się naprzód skokami. A każdy skok wtórował dźwięcznym taktom bębnów z niezawodną dokładnością. Poczujęm przyływ tego rytmu do krwi. Uniosłem się z krzesła i gdzieś idę, nie wiem po co, ale idę i nozdrza mi się rozszerzyły. Dokoła wszystko wibrowało. Busz ział ciepłym oddechem, niebo chyba się obniżyło i lało na ziemię coś, czym się upiłem". /"Pożegnanie z panną Syngilą". 1963/
Niech w niej były tylko takie dialogi jak ten z kupcem weneckim, który autora na dalszą drogę ekwipował, i tylko tyle polityki, ile na Sudan trzeba, i tylko tyle osobistych spraw, ile ich podróż wymaga. Ale Bocheńskiego po całym świecie ścigają Erynie publicystyki i romansopisarstwa, dziwnie połączone razem. Odpłaca się jednym rozmową z faraonem o władzy, drugim zaś romansiem ze stewardessą. Odpłaca się im krygami stylistycznymi, w których pobrzmiwają głowy licznych jego literackich kolegów: a to Dygata w scenie "Odczytu", będącej dokładnym powtórzeniem "Jeziora Bodeńskiego", a to Celine'a z "Podróży do kresu nocy" w scenie sądu.

Ciekawe to, że Bocheński zapożycza się najczęściej wtedy, gdy chce być sarkastyczny. To znaczy, że taki właśnie nie jest. Jaki jest? Najlepszym jego utworem jest część pierwsza najnowszej książki pt. "Tabu" /1965/, najslabszym zaś część druga tej samej książki. Część pierwsza jest stylizowaną opowieścią o miłości, której akcję umieścić trzeba gdzieś chyba w początkach XVI wieku. Poeta porwał zakonnice i ucieka z nią do Francji, a w czasie ucieczki przestaje ją kochać, bo ona go nie chce, bo się Boga boi tak bardzo,

że aż kochanka tym strachem zaraża. Więc ją ten ostatni porzuci, a ona do klasztoru wraca w ręce inkwizytorów, którym się spowiada. Śliczne to opowiadanie, gdzie pobrzmiewają dalekie echa "Listów zakonnicy portugalskiej siostry Marii Alcaforado", i bliższe - Andrzejewskiego z "Bram rajju". Ładnie utrzymany ton skargi kobiecej, naiwnej i namiętnej; ładnie uchwycony stan zamistyfikowania wyobraźni i uczuć; jest religia i jest erotyka - pierwsza ma erotyczny płomień w sobie, druga walor religijny. Przez wzajemną osmozę religii i miłości ukazany człowiek w dramacie, w męce, w pragnieniu szczęścia i świętości i z głęboką wiedzą o ich wykluczaniu się wzajemnym. Ładne, konwencjonalne lecz stylowe tło hiszpańskie, nakreślone w metaforycznych terminach humanistycznej sielanki.

A część druga, sarkastyczna właśnie, współczesna, o tej samej co poprzednia linii tematycznej, tyle że skrzywionej kompletnie: dziewczyna opowiada swą przygodę z Hiszpanem, który ją porzucił /względnie wyrzucił/, bo silniejsza była jego polityczna miłość do czerwonej republiki. Skąd ten temat? Skąd ten ton młodzieżowy? /"... po tym obciachu zmyłam się z łóżka"/? A stąd chyba, że Bocheński znów zląkł się, iż za daleko odbiegł od tego, co na dziś najważniejsze. Na to mu trzeba powiedzieć: jeszcze dalej, jeszcze dalej. Albowiem literatura wcale nie jest do rzeki podobna, ale do... Do niczego. I dlatego tylko to, co do niczego nie podobne, liczy się w niej.